Ner 4. Kraków, dnia 16go Lutego 1871. Rok III.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca.— Włościanin kosztuje rocznie Zł. 3 w. a., półrocznie Zł. 1 cent. 50, kwartalnie cent. 75.— Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“— płaci za oba pisma: rocznie Zł. 4 cent. 60, półrocznie Zł. 2 cent. 30, kwartalnie Zł. 1 centów 15.

(Zagroda wychodzi 8 i 24 każdego miesiąca).

Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy od wiersza, z dopłatą 30 centów na stempel. — Listy lub przekazy pocztowe należy przesyłać pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.

O Kazimirzu Wielkim.

Posłuchajmy, co o tym królu-chłopów prawią narodowe dzieje.

Nie wielkie to było państwo, które Kazimirz po ojcu swoim Władysławie Łokietku odziedziczył; ale porządek był już w niém zaprowadzony, tak, iż i pieniędzy znalazło się dość na każdy wypadek wojny, i lud stawał pod bronią wyćwiczony w licznych poprzednich bitwach. Przy mądrém i rządném gospodarstwie, Kazimirz Polskę uczynił bogatą i szczęśliwą. Zasiadłszy na tronie ojcowskim, Kazimirz koronował się w Krakowie, wraz z Litwinką Aldoną żoną swoją. Piękna to musiała być para; on młody dopiéro 23 lat mający, ona dziewica lat 18, świéża jak kwiatek. Starszyzna radna, zważając, że król jeszcze niedoświadczony, otoczyła go ludźmi sędziwymi a mądrymi i uczciwymi, na których czele, jako główny poradnik króla, stał Jaśko z Mielsztyna, kasztelan czyli rządca krakowski, nadzwyczajnie prawy i kochający ojczyznę człowiek. Obydwa oni myśleli o tém, żeby ciągły pokój i stały porządek zaprowadzić w kraju, żeby już raz przecie ustały owe srogie wojny i biédny chłopek mógł spokojnie orać swój kawałek roli i wesoło śpiewać. Dla tego zaraz zrobiono ugodę z Krzyżakami, na mocy któréj Kazimirz odzyskał Kujawy i Ziemię Dobrzyńską, ale ustąpił Krzyżakom Pomorza z wielkim uszczerbkim dla Polski, któréj koniecznie potrzebne były brzegi morskie dla handlu Wisłą. Potém zgodził się Kazimirz z królem czeskim, który zrzekł się tytułu króla polskiego, ale za to nabył prawo do posiadania Szląska. Te ubytki wynagrodził sobie Kazimirz w innéj stronie, a mianowicie na Rusi Czerwonéj i na Wołyniu. Najpamiętniejszym jednakże czynem panowania Kazimirza, którego słusznie nadewszystko dla tego: Wielkim nazwano, był zjazd w Wiślicy 1347 r., na którym wielorakie i przerozmaite prawa w jedną księgę ułożone, pod nazwą: Statutu Wiślickiego zostały narodowi nadane. O jego zabiegłości gospodarskiéj wieleby mówić; gdzie tylko dotąd widać stare zamki murowane, a po miastach: jak Kraków, Sandomirz, Kazimirz, najpiękniejsze kamienice i wspaniałe szpichlerze, mury dokoła miast, to wszystko on zbudował. Dla tego téż dobrze mówiono o nim: że Polskę drewnianą przemienił w murowaną. Niemniéj téż godny Kazimirz pamięci i miłości za to, iż szczególniéj kochał chłopków, lubił z nimi rozmawiać, wypytywać się jakich mają panów, czy dobrych czy złych; a jeżeli który poskarżył się a miał słuszność, tedy zaraz kazał ukarać możnego krzywdziciela. Za to go téż za życia jeszcze nazywano: królem-chłopów, i to miano w dziejach do dzisiaj mu zostało. Dla żydów nawet, których wtedy już było dużo w Polsce, okazał się przychylnym, pozwolił im osiadać i handel prowadzić, kiedy gdzie indziéj strasznie ich prześladowano i zewsząd ich pędzono; więc téż godzi się mieć tę nadzieję, że żydzi prędzéj czy późniéj, odpłacą Polsce wdzięcznością te jéj dobrodziejstwa. Dbał téż Kazimirz niezmiernie o oświatę swego narodu. Naprzód założył szkołę najwyższą czyli akademiję w Krakowie 1364 r., a więc temu akurat 500 lat w 1864 r., sprowadziwszy do niéj uczonych ludzi, aby młodzież na przyszłość nie potrzebowała cudzych rozumów szukać i jeździć po rozum za góry i za morza, mając go u siebie. Przytém, jak był dobrym dla pracowitych, uczciwych i kochających ojczyznę ludzi, tak znowu srogim się pokazywał na rabusiów, gwałcicieli i zdrajców.

Król Kazimirz Wielki nie miał męzkiego potomstwa, tylko córki, a z nich doczekał się wnuczki, i tę wydał za mąż za Karola IV césarza niemieckiego 1363 r. Na tém weselu dopiéro to pokazało się, jakie były bogactwa w Polsce, a jaka okazałość królewska, i nietylko królewska ale i prostych mieszczan. Jakby dla powiększenia téj uroczystości weselnéj, która się odbyła w ostatki zapustne, zjechało się do Krakowa mnóstwo gości z całego świata, a w tych liczbie byli: król węgierski Ludwik, król duński Waldemar i król cypryjski Piotr. Co tam przytém książąt różnych się zbiegło, tego już nie zliczę. Wszyscy ci tedy goście wyjechali za miasto na przyjęcie pana młodego, to jest: Karola IV, césarza niemieckiego. Wyjechała i panna młoda w orszaku prześlicznych dziewic, i tak wszyscy potém ciągnęli do kościoła, gdzie césarskiéj parze ślub dano, a na zamku wyprawiono wesele z muzyką i tańcami. Chociaż gości tych pełen był Kraków, jednakże każdy miał piękną i wygodną gospodę, a jeść dostawał sowicie z kuchni królewskiéj. Wesele to trwało przez dni dwadzieścia, a nie tylko na niém sami weselili się panowie. Kazimirz pamiętał i o ludzie, dla tego na rynku krakowskim noc i dzień zastawione były stoły wszelkiego rodzaju jadłem oraz kadzie z miodem i piwem, także z owsem dla koni, żeby każdy mógł brać co mu się żywnie podoba. Powiadają, że mimo tak licznych gości, porządek był najlepszy, a to, że król miał szafarza, nazwiskiem Wierzynka, mieszczanina krakowskiego, który umiał dobrze wszystko rozporządzić i każdemu dogodzić. Wierzynka Kazimirz lubił, bo był zabiegliwy, gospodarny i wierny; a musiał być takim, kiedy pieniądze królewskie miał pod swoim kluczem. Widać, że poczciwie służąc, zebrał i znaczny majątek i miał poważanie, gdyż wyprosił sobie łaskę u króla, aby i jemu pozwolił dać obiad dla wszystkich monarchów i gości. Kazimirz pozwolił, i mieszczanin królom taką wyprawił ucztę, że i królewska nie mogła być lepszą, a przez wdzięczność, pana swego i króla na piérwszém posadził miejscu. Przy końcu obiadu, naprzód panu swemu darował taki klejnot, że go oceniono na sto tysięcy złotych, co na dzisiejszy rachunek więcéj niż milijon wynosi; następnie innym królom i gościom podawał różne drogocenne upominki. Dziwili się wszyscy temu bogactwu mieszczanina, a obcy mocarze myśleli i mówili sobie, że kraj musi także być kwitnący, kiedy tak zamożnych ma obywateli.

Kazimirz do późnego wieku zachował dzielność i siłę, i chociaż miał już lat sześćdziesiąt, często zabawiał się łowami. Właśnie przy pięknéj jesieni zachciało mu się polować w borach sandomirskich, a był to dzień Narodzenia Najświętszéj Panny dzień uroczysty, przeto dworzanie odradzali królowi, mówiąc: że to grzéch ale inny jakiś bezbożnik skusił króla, że pojechał. Wtedy zwiérza było huk, a nie takiego jak dziś, ale sam gruby zwiérz, jako tury, żubry, łosie, niedźwiedzie, dziki, jelenie — a na zająca nikt wtenczas nie patrzał. Wychodziło też na łowy po kilkaset ludzi i to nie lada dzieciuch mógł się odważyć, bo wtedy nie znano rusznic i niestrzelano kulami, ale każdy musiał z włócznią albo z kordelasem wpadać na zwiérza, i tak się z nim potykać jak chłop z chłopem. Większa sztuka i trud, większa téż była sława. Król lubił takie łowy, więc wyjechał na koniu, w tém psy wytropiły jelenia z ogromnemi rogami. Kazimirz, choć starzec, poczuł w sobie młody ogień, śpiął konia, i daléj za jeleniem przez krzaki i rowy. Na nieszczęście koń się potknął i zwalił się z królem, który potłukł się i nogę sobie skaléczył. Dwóch lékarzy było przy królu i zaczęli go léczyć, ale, że jak to często bywa, nie zgadzali się z sobą, więc co jeden naprawił, to drugi popsuł; aż nakoniec król w bolach przywieziony został do Krakowa, gdzie spisawszy testament, oddał Bogu ducha z wielkim żalem całego narodu. Na nim to wygasł ród Piastów, który przez pięćset lat w Polsce panował. Kazimirz urodził się 1310 r., wstąpił na tron 1333 r., a umarł 5go listopada 1370 r.; żył więc lat 60, a panował lat 37. Przez wdzięczność że tyle dobrego krajowi zrobił, otrzymał przydomek: Wielkiego; a przez pamięć, że był obrońcą uciśnionych i lubił chłopów, nazwano go: Królem-Chłopów, co tak jedno jak drugie, najwyższą świetność zapewniło mu w dziejach.

Cześć i pokój takiego króla duchowi!

Leon Zienkowicz.

Przywitanie.

Zaszumiały bory, zaszumiały lasy,
Gdzieście się podziały moje młode czasy?

Gdzieście się podziały wy złote miesiące,
Kiedym nocką pasał koniki na łące?

Moja ty dziewczyno, moje ty śliczności,
Gdzie się to podziały te nasze miłości?

Kiedyś mię żegnała łza łzę pobijała,
Teraz się spoglądasz jakbyś mnie nie znała.

Żołnierz ci ja, żołnierz, od polskiego wojska,
Byłbym ja bogaty, gdyby była Polska.

Płaszczysko zszarzane, wytarte galonki,
Już ja z ciebie Kasiu nie będę miał żonki.

Teofil Lenartowicz.

Stanisław Staszic,

największy przyjaciel i dobroczyńca ludu.

Opowiem wam tu, kochani bracia, życie człowieka, u którego serce w miłości ludu wiejskiego równało się z miłością Kościuszki. Ten sławny człowiek, co się nazywał Stanisław Staszic, urodził się w 1755 r. w Wielkopolsce, nie z żadnych wielkich panów, ale z ubogiéj mieszczańskiéj rodziny w miasteczku Piła. Że zaś Stanisław był najmłodszy z rodzeństwa, był téż największym swéj matki ulubieńcem. To téż słabe zdrowie syneczka, jakie miał od urodzenia, smuciło ją bardzo i dla tego umyśliła pobożna matka poświęcić go Panu Jezusowi, to jest obiecała, że gdy się Stanisław uchowa, zostanie kapłanem — sługą krzyża.



Prawda że Stanisław nie mając wielkiego powołania do stanu duchownego, zostawszy księdzem, nie zajmował się ciągle służbą kościoła, ale za to był prawdziwie wiernym sługą Bożym, gdyż całe życie jego było ciągiem jednym miłości ludzi i obmyślania nad tém, aby rodakom a osobliwie ludowi prostemu, było jak najlepiéj w świecie.

W 18 roku życia swego puścił się za granicę, aby tam przejrzawszy świata, wyuczyć się we wszelakiéj rzeczy, i co najpożyteczniejszego, sprowadzić do swojéj ojczyzny Polski. A wiedząc że nasza kochana ziemia jest bogata wewnątrz w rozmaite drogie kruszce i minerały, miał wielkie upodobanie w innych krajach poznawać gatunki ziemi, i grzebać we wnętrzu jéj, aby potém wróciwszy do kraju, ulepszać kopalnie i wynajdować w rodzinnéj ziemi skarby, jakie się w jéj wnętrzu znajdują.

I tak oświécony wszelkiemi zdolnościami rozumu, a wielką miłością w sercu, wrócił Staszic do Polski. Lecz że wtedy, bo to już temu blizko 100 lat, jeszcze ludzie nie wszyscy byli tacy dobrzy i mądrzy jako Staszic, więc takie było prawo w kraju, że jak kto nie był szlachcicem albo jakim grafem, to choćby był najlepszym i najmędrszym człowiekiem, to nie mógł wyjść na wysoki żaden urząd, ani stopień. Zabolało serce okrutnie brata wiejskiego, choć nie z szlacheckiéj rodziny urodzonego Staszica, bo jako mądry i bogobojny, widział, że takie prawo prowadziło Ojczyznę do upadku. Ale cóż miał robić, poznał się z jednym bardzo wielkim i bogatym panem w Zamościu i u niego przystał za profesora do dwóch synów. W tym domu przebywszy czas jakiś, a będąc już kapłanem, dostał probostwo w Torubinie. Ale jak się rzekło, Staszic nie był z tych kapłanów, co jeno w jedném probostwie chcą dobrze, bo on chciał, bo on przemyślał, aby całemu ludowi wiejskiemu polskiemu dużo dobrego uczynić i ulżyć ile możności w trudach. To téż i nie chciał tego probostwa, ale pozostał w Zamościu, między wielkimi i uczonymi ludźmi, mając nadzieję, że swym rozumem i miłością serca potrafi dla całego kraju dużo dobrego uczynić.

A że widzicie wszystkie najlepsze zamysły ludzkie i wprowadzenie czegoś lepszego na świecie, przez nic inne się nie sprowadza, jeno przez książki, co mądrzejsi ludzie napiszą i doradzą, aby było lepiéj, tak też i Staszic począł najsamprzód od tego, że się wziął do pisauia mądrych ksiąg, w których dawał rady jak postąpić, aby lepiéj, aby dobrze było. Aby się kraj zbogacał, a biédni, aby nie byli uciśnieni, więc mówię, pisał mądre i z dobremi radami książki. Jednę z takich ksiąg, w któréj wiele było dobrego, napisał: Przestrogi dla Polski. Było tam szczególnie i o tém, co się każdemu człowiekowi należy i aby jeden nad drugim nie przewodził.

Wtedy poznał się z bardzo wielkim i dobrym panem księciem Czartoryskim, który za jego namową stawiał szkółki ludowe, ubiérał się prawie po chłopsku i cały poświęcał się ku dobru swoich poddanych. A z tego serce Staszica przejęte miłością dla ludu rozpływało się z radości.

W kilka lat potém, ponieważ Staszic był bardzo oszczędny, a za swoje książki i nauki był dobrze płacony, uzbiérał sobie był przeto ładną sumkę, a gdy rząd sprzedawał dobra, Staszic kupił starostwo hrubieszowskie w ziemi bełskiéj i usunąwszy się od świata, zamieszkał w tych dobrach.

Tu dopiéro zajął się pisaniem nowych ksiąg, a wszystko prowadzących do tego, aby włościan uszczęśliwić, to jest usamowolnić ich, aby mieli byt dobry, nie robili pańszczyzny i byli sobie wolnymi obywatelami. I żeby z tego dać przykład ze siebie, po kilku latach, całe starostwo hrubieszowskie podarował gminie.

W tedy został wielkim urzędnikiem państwa, a gdy zawiązano Towarzystwo nauk w Warszawie, wezwali go także jako członka do tego Towarzystwa, w którém on ku dobru kraju najgorliwiéj pracował. Ale nie tylko nauką i mądrością przyczyniał się Staszic w Towarzystwie, ale i swoim mujątkiem wspiérał go i nawet wieczystą zostawił pamiątkę, bo zakupił dla Towarzystwa dom ogromny, przed którym stoi po dziś dzień wielki pomnik sławnego człowicka Kopernika, Polaka, który to odkrył, że nie słonko koło ziemi, ale ziemia koło słonka biega. Nareszcie został Staszic najstarszym prezesem tego Towarzystwa i dopiéro się cieszył, że mu już łatwiéj było ku dobru kraju pracować. A zawsze tylko nad tém przemyśliwał, co ku dobru cierpiącéj ludzkości by było. I tak bardzo sobie życzył, aby taką szkołę założyć, co by w niéj można głuchoniemych uczyć, jak to już było po innych krajach. No i jak zaczął ku temu namawiać, tak ci się znalazł taki jeden poczciwy ksiądz, co pojechał w obce kraje, wyuczył się téj sztuki i wrócił do Polski i założył za staraniem Staszica taką sama szkołę dla głuchoniemych w Warszawie. A co widzicie jest wielkiém dobrodziejstwem dla biédnych takich kalęk, że choć nie słyszy i nie mówi, a może się wyuczyć czytać, pisać i we wszelakiéj rzeczy się oświéci, to mu potém przecie milsze życie, bo się z książki i z pisma o wszystkiém dowié i rozerwie się. Więc temu Staszicowi po wszystkie czasy od narodu wielka się wdzięczność należy i pamięć o nim powinna być droga.

(Dokończenie nastąpi).

Głuchoniemy.

przez Ludkę z Myślenic.

W jednéj wsi za Lwowem urodził się był gospodarzowi tamtejszemu, którego już imienia nie pamiętam, synek. Wielkać to radość była dla poczciwych chłopków, bo to był jedynak. Ale to szczęście nie zadługo zamieniło się w wielki, o w bardzo wielki smutek; bo gdy dziecko poczęło trochę przychodzić do rozumu, to tylko spoziérało w koło oczyma, i sięgało po wszystko, jak zwykle dzieci, ale gdy ojciec lub matka, co do niego zagadali lub zawołali po imieniu, to chłopak ani się ruszył ani oczyma powiódł za głosem — i pokazało się, że był głuchoniemy. Żal straszliwy ogarnął serca rodziców; — bo którzy by też ojcowie chcieli mieć dziecko swoje jakową kaleką, lub niezdarą na świecie? Toż wierzę, że ojciec i matka Michałka—jak mu dali na imię— ledwo się nie zadręczyli. Chodzili oni i do dworu po jakie léki na to, i do miasta do aptéki, i do lékarza chodzili, ale Michałek nie słyszy i nie gada, wszystko nadaremnie. Dowiedzieli się nawet o jakimś człeku na pograniczu, co to różne niemoce ludzkie miał léczyć czy tam zażegnywać, ale i to nie pomogło, bo gdzieby też kiedy komu od głupiego człeka mogło pomódz zażegnanie. Pomogło chyba tyle, że oszust z kieszeni biédnego chłopa ciągnął grosz ostatni i przyprowadził go jeszcze do gréchu wielkiego, bo to, moi kochani, jakeście już nie raz słyszeli od waszych pastérzy duchownych z ambon, wierzyć w jakowe

gusła, zabobony, zażegnywania, jest grzéchem wielkim, śmiertelnym! Dość powiedzieć, że to nic nie pomogło, a Michałek wyrastał pięknie, i na ciele był chłopak jak się patrzy, ale ani nie słyszy, ani nie mówi, tylko co na migi się z ludźmi zrozumi, jak zwykle głuchoniemy. I dorósł już był blizko lat 20, urodny, przystojny chłopak, a mocny, co się zowie. Nieraz bywało, gdy pasał bydło, to jak się tak po żarcie jęli chłopaki ze sobą próbować, to on i dziesięciu przemógł. Ale najulubieńszą dla niego była robota, wziąść kozik i kawałek drewna, i wyrzynać z niego różne figle, figurki i krzyżyki. Lubił także bardzo gaje, łąki i nie raz widziano go, że gdy w jakiém miejscu był piękny gaj albo łączka, to on tam lubił sam siedzieć i patrzéć i dumać. Nieraz poglądał na niebo, drugi raz na tę zieloność, i bywało, że nawet rękami rozkładał i wargami ruszał, ale któż go wié, co on tam myślał, kiedy niemowa? Pastuszki bali się go, gdy widzieli, że on tak często rozmawia z témi gajami. Lubił także gwiazdy i miesiączek, lubił kwiateczki i lubił wszystko, co piękne. Krótko mówiąc, gdy spostrzegł czasem ładnego ptaszka, to stał nad nim długo i rękami rozkładał, i patrzał w niebo i wzdychał, jakby Panu Jezusowi dziękował za to piękne stworzenie. Nawet do człeka jakiego urodnego to zaraz lgnął sercem. Otóż mówię, tak dorósł do lat 20, i był ojcu we wszelkiéj robocie wielką pomocą, był mocny i chętny do wszystkiego. Ojcowie nie mieli więcéj dzieci, tylko jego, to go też kochali nadzwyczajnie i tak się byli nauczyli rozmawiać z nim na migi, że już i mało zważali na jego kaléctwo. A że był zręczny i bardzo łagodnego i miękiego serca, toć go i sąsiedzi bardzo lubili, choć się często gęsto naśmiéwali z niego, że po gajach chodził i dumał, albo że figurki z drewienek wyrzynał. Na jakie biesiady, albo na to mówiąc, do karczmy nie zajrzał jako życie. Bo i po cóż by tam chodził, kiedy grajka nie słyszał, dziéwczęta nie poszłyby z nim do tańca, wódki pić nie lubił? Do karczmy więc nie chodził, ale za to do kościoła lubił bardzo chodzić i choć prawda nie umiał paciérza, ale mu ojcowie i ksiądz proboszcz na migi objaśnili mało wiele o panu Bogu o najświętszéj Panience i świętych, to téż czuł w sercu do nich nabożeństwo. Co niedziela widziałeś go w kościele. Bywało nieraz, że ludzie odejdą, a on stoi przy ścianie, i patrzy się w wielki ołtarz, i modli się gorąco. O jego modlitwa, to już była zapewne najmilsza Panu Bogu, bo nie wargami, nie słowem, ale sercem się modlił, a my grzészni ludzie pono po większéj części inaczéj się modlimy. Otóż jak już wyżéj rzekłam, że Michałek lubił każdą rzecz piękną namiętnie, a właśnie w parafijalnym kościele w wielkim ołtarzu był przepięknie malowany obraz Najświętszéj Panny. Ten obraz to był szczęściem dla Michałka; on by przy nim i cały dzień przestał, patrząc się weń ustawicznie. Ale bo téż śliczny to był obraz! Zdało ci się patrząc na niego, że oczywiście Najświętsza Panienka przemawia do ciebie, że się uśmiécha, że cię cieszy niebieską nadzieją, a jéj boskie dzieciątko, zdawało się, jakby swe święte rączęta wyciągało ku ziemi, ku ludkowi, żeby go błogosławić. Tak bywało, we święto wróci Michałek z kościoła, to zaraz bierze swój kozik i drewienka, i wyrzyna różne figurki, i popatrzy, ale mu się żaden nie udaje — odłoży je i westchnie, bo on chciał taką figurkę wykroić, taką twarz śliczną, jak była na obrazie N. Panny, która mu była zawsze przed oczami i w jego duszy. I takie to porządne choć nieszczęśliwe życie prowadził Michałek. — Zdarzyło się jednéj niedzieli po żniwach, że sprawiał dziedzic we dworze wielki obżynek, a ludu miało być na nim co nie miara, bo właśnie pan był przykupił pograniczną wieś, i razem obie wsie miały we dworze obżynek — dziéwek wieńcowych, to miało być aże sześć, bo wielkie gromady należały pod tego pana.

Jużcić naturalnie, że na ten obżynek poszli i ojcowie Michałka i on sam może piérwszy raz w życiu poszedł także przypatrzéć się takiéj uciesze.

Gromadka stanęła pięknie na dużym podworcu, dziéwczęta wieńcowe poszły naprzód przed ganek, i każda ze śpiéwem, to panu, to pani złoży polny swój wieniec, a potém kapela jak utnie, chłopaki przybieżą, gromada się rozstąpi, kółko okrąglutkie zrobi się między ludem, wieńcowe przodują z najswarniejszymi chłopakami, a często gęsto i sami panowie ze dworu z niemi, a śpiéwają ci pieśni, co to zda się smutne, ale czegoś do nich ledwo dusza nie wyskoczy— o doprawdy biédny taki człek, co nigdy nie słyszał w życiu takiego spiéwania, niby smutnego a miłego, albo znów wesołego naszego krakowiaka wiejskiego. Kapela przygrywa, bractwo hula, już przeszli parę razy w kółko, znów stanęli, coś prześpiéwali pani, i daléj w taniec — gdy w tém dziedzic kazał przestać kapeli, bo mówi, jak prawi stare przysłowie, boli gardło śpiéwać darmo, toć i wy moi dobrzy ludkowie musicie się trochę posilić, a i wieńcowe

dziewuchy muszą dostać podarki swoje za to, że pięknie przodowały we żniwie, ta i parobczaki. I wstała kapela, a wieńcowe dziewuchy i reszta ludzi poczęły się zbliżać do ganku. A tu na szérokim ganku dwa stoły, a na nich jakby na jarmarku w Tarnopolu, albo na odpuście wszelakie rzeczy, co aż się miga w oczach, bo to wstążki śliczne czerwone, złociste wianeczki, pierścioneczki, szpinki, przeróżne paciorki, czepce, szkaplérze, krzyżyki, medaliki, nożyki różne, paski skórzane, obrazki, było nawet i kilka małych ksiażeczek, właśnie dla tych, co czytać umieją. Dziedzic dobry nie żałował widać, aby ucieszyć swoją gromadę, i pieniędzy i wszystkiego — bo oto w sieni znowu stoły, a na nich placki, chlebowce, piérogi a nawet męso, a na podłodze beczki, jedna czy dwie z piwem, jedna miodu a najmniejsza dopiéro z gorzałką — bo to pan dobrze wiedział, że miód i piwo zdrowiu nie zaszkodzi, ani rozumu nie popsuje, tylko gorzałczysko, to jéj też tu najmniéj, ot tak jeno dla uciechy, aby jego przychylna gromada miała wszystko. — Jak tylko obżynek zaszedł do dworu, to nasz Michałek, którego muzyka ani taniec nie obchodził, stanął sobie na boku przy ganku, i przypatrywał się wszystkiemu, i wszystko mu się podobało, bo jak mówię, był dobrego serca, a widział choć nie słyszał w koło siebie dużo wesołości, toć i on się tylko uśmiéchał, a myślał, któż ta wié co myślał, może w téj chwili myślał o ślicznym obrazie Maryi w kościele — bo się czegoś zadumał. W tém dziedzic zawołał powtórnie — no moje dzieci zbliżcie się tu pod ganek, a dziewuchy wieńcowe naprzód. I szła jedna za drugą, a sama pani rozdziela już podarki. Ta dostała śliczne paciorki i cwancygiera z Matką Boską, ta na gorset, ta to, ta owo, wszyscy się patrzą, wszyscy się cieszą— patrzy się i nasz Michałek; gdy w tém sam pan rzeknie: O wa, a gdzież-to ładna Baśka od Junosza z drugiéj wsi, tać że to piérwsza we żniwie, całe lato rznie na przodzie, i dla niéj też najpiękniejszy podarek odłożony. Hej Baśka Junoszowa niech się zbliży do w. państwa, zakrzykneło kilku gospodarzy i karbowy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Pogadanki pouczające.

O państwie.

(Dokończenie).

Powiedzieliśmy przeszłym razem, że gmina jest małym obrazem państwa, jest maleńkiém państewkiem. Łatwo więc teraz przyjdzie nam zrozumieć, co mamy powiedzieć o państwie. Ono tak samo, moi drodzy, składa się z tych części co i gmina, tylko rozumie się, że to wszystko ma wiele większy rozmiar. Tak jak nie może być pewnéj gminy określonéj bez oznaczonego terytoryjum, tak samo nie może być bez niego państwa. Państwo musi koniecznie zajmować pewną przestrzeń ziemi, którą przerzynają wielkie nieraz rzéki a nawet morza; to wszystko zaś stanowi terytoryjum państwa. Oznaczenie jego granic dokładne, jest bardzo ważném, moi bracia, bo tak jak nieraz między dwoma sąsiady przychodzi do sporu i niezgody o kawałek zagona, tak i między jedném państwém a drugiém zdarzyć się może to samo, a co więcéj może w końcu przyjść do morderczéj wojny, hańbiącéj dzisiejsze jeszcze czasy, w któréj tysiące biédnego narodu ginie marnie. Oznaczenie przeto granic owego terytoryjum jest bardzo ważném, i państwa przestrzegają ich bardzo skrupulatnie. Takie przeto dokładnie oznaczone terytoryjum stanowi pierwszą część składową państwa. Drugą będzie tak samo jak w gminie ludność. Ta, moi drodzy, może się składać z rozmaitych ludów, mówiących różnymi językami, jak to np. mamy w Austryi, że są i Polacy i Czesi i Węgry i Niemcy i t. d.; może jednak być państwo jednéj narodowości, jak np. Francyja, gdzie wszyscy mówią jednym językiem. Jednakże czy to państwo składa się z jednéj narodowości, czy z więcéj, zawsze stanowi to ludność państwa. Taka ludność w jednych państwach jest większa, w innych mniejsza, tak jak w gminie. W państwie zaś austryjackiém znajduje się téj ludności przeszło 40 milijonów tj. już wszystkich narodowości: Polaków Rusinów, Czechów, Kroatów, Węgrów, Niemców i t. d. Ludność więc jest drugą częścią składową państwa, tak samo jak w gminie, tylko że w téj liczy ona się tylko na setki lub tysiące, a w państwie dochodzi milijonów. — Trzecią częścią składową państwa będziemy mieli tak samo jak w gminie władzę. Władza ta i tutaj rozpada się na dwie części: Jak w gminie, tak i w państwie tém bardziéj, ludzie potrzebują pewnéj nad sobą opieki, aby ich kto nie najechał, nie zagrabił im mienia, lub ich na zdrowiu nie uszkodził. Im większa gmina, tém większe też rodzą się jéj potrzeby; państwo więc będące ogromną gminą ma i ogromne potrzeby. Musi zakładać liczne instytucyje naukowe, liczne szkoły miejskie i wiejskie, wysokie uczelnie czyli akademije, gdzie kształcą się ludzie w rozmaitych gałęziach, aby późniéj wzajemnie sobie pomagać. Daléj państwo musi pamiętać o innych licznych potrzebach jak: sądach, aby ludzie mieli gdzie uzyskać sprawiedliwość, o drogach i kolejach żelaznych, o zabezpieczeniu się na zewnątrz przez utrzymywanie wojska i t. d. o czém kiedy indziéj obszerniéj pomówimy; do tego więc wszystkiego potrzebuje ludzi, którzyby się tém zajmowali, potrzebuje władzy. Jak gmina ma przedstawicielem swojéj władzy świeckiéj wójta, tak państwo ma także takiego najwyższego wójta, którego rozmaicie stósownie do swych praw i ustroju nazywa: césarzem, królem, prezydentem i t. p. Ale jak człowiek składa się z ciała i duszy, tak i władza jest dwojaka. Mówiliśmy dopiéro o świeckiéj, odnoszącéj się przeważnie do strony cielesnej i materyjalnéj człowieka. Teraz co się tyczy duchowéj czyli moralnéj, to tu tak samo jak w gminie znajdują się te same potrzeby duchowe, bo jednakowy jest duch u

wszystkich ludzi. Tak w państwie jak w gminie, jak i na całym świecie od wieków ludzie się modlą, błagają Boga o dary i dziękują za nie, i mają swoich przedstawicieli. Jeźli ludzie wszyscy co do swéj osoby są równi, to jednak wykonując rozmaite niższe i wyższe czynności zajmują różne godności co raz wyższe. Ale to, moi mili, bardzo słusznie. Ten bowiem co stoi wyżéj, ma i więcéj obowiązków, musi o większém pamiętać: wójt o swojéj gminie, starosta o starostwie, namiestnik o wielkiéj jakiéj prowincyi czyli kraju, césarz wreszcie o całém państwie. Słusznie więc, że im wyżéj, tém większą jest godność. Tak też, bracia moi, i we władzy duchownéj: proboszcz pamięta o swojéj parafii, dziekan o kilkunastu parafijach czyli o swym dekanacie, biskup wreszcie o duszach wszystkich owieczek swojéj dyecezyi, a biskup rzymski czyli Ojciec święty o wszystkich duszach całego kościoła katolickiego. — Otóż ponieważ państwa są tylko częściami tego powszechnego naszego kościoła katolickiego, więc w nich biskupi dyecezyjalni mają tę władzę duchową, i są jéj przedstawicielami. Władze te świecka i duchowna istnieją niezależnie jedna od drugiéj, ale jak ciało człowieka zgadza się z jego duszą, tak i te władze ze sobą się zgadzają, i razem przedstawiają władzę nad człowiekiem, będącą trzecią częścią składową państwa, jako najwyższy wyraz téj opieki i tych rządów nad nim.

Tak więc poznaliśmy te najważniejsze części składowe państwa; są niemi: terytoryjum, ludność i władza, a razem to wszystko wzięte jako całość, jako jedna istota z rozmaitemi członkami, przedstawia organizm państwowy czyli państwo. W niém terytoryjum może odpowiadać nogom, bo na niém ono stoi, ludność tułowiowi, a władza głowie, bo rządzi; wszystko zaś razem składa jedną istotę, jaką nazywamy państwem.

Więcéj ciekawych rzeczy o niém dowiémy się późniéj, a teraz żegnam was, moi mili!

Zbigniew.

Co słychać w świecie?

Donoszą gazecie „Kraj“ w liście 30 stycznia w Paryżu pisanym, iż gdy Prusacy przestali bombardować miasto, wszyscy oczekiwali jakiéjś odmiany — nie kapitulacyi Paryża, ale tylko zawieszenia broni. Tymczasem rząd wydał proklamacyję, w któréj ogłasza, że Paryż kapitulował. Wzburzenie było wielkie. Całą noc prawie po tych wiadomościach w Paryżu nikt nie spał; ulice były zapełnione ludźmi. — Dziś — piszą w liście — ma Paryż otrzymać piérwszy transport żywności z obozu niemieckiego. Szalona igraszka losu! Niemcy żywić będą stolicę Francyi chlebem francuzkim wydartym mieszkańcom Francyi. Nie wiem, czy wskutek ogólnego smutku i wrażeń żałobnych — liczba pogrzebów w tych dniach, zdaje się, że jeszcze wzrosła, i nie można prawie przejść przez ulicę, aby się nie spotkać z konduktem pogrzebowym. Ale cóż to znaczy smutek prywatny, co znaczy pogrzeb pojedynczych obywateli w obec okropnego pogrzebu dawnéj wielkości francuzkiéj, któréj urągają żałobne, czarno-białe chorągwie pruskie, wiejące z fortów paryzkich wobec dźwięków muzyki pruskiéj, grającéj marsz paryzki, którego tony dolatują z najbliższych fortów aż do wałów miasta. Tam się odbywają chrzciny wielkości, tu tę wielkość niosą do grobu....

Podług proklamacyi oblężenie Paryża trwało 4 miesiące, 12 dni, bombardowanie cały miesiąc. Choć śmiertelność potroiła się w tym czasie, nie było ani jednego dnia upadku na duchu.

Damy paryzkie postanowiły nosić pierścień na pamiątkę oblężenia stolicy z r. 1870 i 1871.

We Francyi odbywają się teraz wybory do Zgromadzenia narodowego. Udział w wyborach jest bardzo liczny. Proklamacyja radzi ludności przedsięwziąć wybory na korzyść rzeczypospolitéj i rządu obrony narodowéj. Mówią, że hr. Bismark żąda odstąpienia Alzacyi wraz z twierdzą Belfort, następnie Lotaryngii z Metzem, a nakoniec 7 milijardów franków wynagrodzenia szkód wojennych. Abyście mieli pojęcie o milijardzie, posłuchajcie:

Milijard znaczy tysiąc milijonów. Gdyby 4 milijardy położono na wagę w pięciofrankówkach, toby ważyły 20 milijonów kilogramów. Gdyby je chciano naraz przewieźć na kolei żelaznéj, potrzebaby na ten cel 4000 wagonów ciężarowych, gdyż każdy wóz w przecięciu tylko 5000 kilogramów udźwignąć może. Gdyby zamiast wagonów były wozy parokonne, potrzebaby ich najmniéj 14.000 Wozy te ustawione w jednym szeregu jeden za drugim, zajęłyby trzydziestomilową drogę. Pięciofrankówki położone jedna obok drugiéj, utworzyłyby linię 25.000 kilometrów długości mającą; jednofrankówki zaś linię mierzącą 92.000 kilometrów.

Ażeby przebiegnąć przestrzeń téj długości — potrzebowałaby lokomotywa przy największéj szybkości, jaką dotychczas osięgnąć było można, prawie cztéry dni. Od czasu narodzenia Chrystusa do obecnéj chwili nie upłynął jeszcze milijard minut; gdyby więc przed 1870 laty składano każdéj minuty po 4 franki, suma ztąd uzyskana nie byłaby jeszcze wystarczającą do zapłacenia kosztów wojny.

Niedaleko od Dijonu we Francyi stał do niedawna zamek. Wpadli doń Prusacy i wymordowali bez miłosierdzia prawie wszystkich znajdujących się tu rannych. Miotani wściekłością rzucili się na jednego młodego oficera wolnych strzelców i przywiązawszy go do słupa marmurowego, żywcem spalili. Gdy drugi batalijon zajął na nowo zamek, ciało nieszczęśliwego oficera spłonęło już na węgiel. Komenderujący, skoro to obaczył, spisał protokół w obecności licznych świadków i niemieckiego doktora, którego tu zostawiono do pielęgnowania rannych niemieckich i tym sposobem pozostawił potomności straszny a najprawdziwszy obrazek z dzisiejszéj wojny. Po spisaniu i podpisaniu protokołu zdjęto fotografiję z resztek nieszczęśliwego męczennika. Niech żyje cywilizacyja pruska!

Między Polakami, walczącymi w wojsku francuzkim, odznacza się pułkownik Lipowski, który nie ma więcéj jak 27 lat lat. Piszą o nim, że celuje niezwyczajną nieustraszonością i piérwszorzędnemi zdolnościami wojskowemi, dla tego liczą go do najśmielszych i najdoświadczeńszych wojskowych, jakich fatalna woj-

na wydarła, i — może słusznie roić o swietnéj przyszłości.

Favre, który robił układy z Bismarkiem, jeździ ciągle jeszcze z wojskowymi i cywilnemi do Wersalu a wieczorem wraca do Paryża.

We Francyi wielka nędza między klasą robotniczą. Prusacy pomimo zawarcia pokoju ciągle jeszcze sprowadzają do Francyi wojsko i przybory wojenne, a jak telegrafują, ma się do 19 t. m. bawarski korpus, który tak wiele ucierpiał, urządzić na nowo, i nie tylko nowo powołani, ale i wyzdrowiali żołnierze mają być przyłączeni i do Francyi odstawieni. Po upływie czasu pokoju, może przyjdzie jeszcze i do wojny. Garibaldi nie ustąpił, spodziéwa się nowych kampanij. Donoszą 11 lutego, że pod Belfortem toczą bitwy. D. 8 zdobyli Prusacy dwa forty. Po pięciorazowym napadzie stracili Niemcy wiele żołnierza, 27 przeszłego miesiąca padło 2000; d. 28 przeszło 1000 ludzi. W nocy prosili Prusacy o 12 godzinne zawieszeenie broni, aby pochować zabitych.

Z organizowanie nowéj armii francuzkiéj prawie na ukończeniu. W przeciągu jednego tygodnia przybyło do Bordo 250.000 karabinów i 300 armat.

Wszystkie fabryki broni w Anglii dzień i noc zatrudnione. Liczba robotników podwojona. Anglija spodziéwa się wojny.

W Turcyi usposobienie wojenne.

U nas w Austryi zmiana w ministerstwie. Są już nowi ministrowie. Hr. Potocki otrzymał dymisyję. Prezydentem ministrów jest hr. Hohenwart.

We Węgrzech umarł minister oświécenia Józef bar. Eötvös (Étwesz). Śmierć jego ogólną wywołała żałobę.

Na Szlązku i Morawie zwinięte być mają namiestnictwa, a obie prowincyje przejść w zakres administracyi namiestnictwa czeskiego. Byłoby to oznaką zgody z Czechami. Donoszą także że na dworze césarskim w Wiédniu robią przygotowania do podróży césarza do Czech. N. Pan ma nie tylko być w Pradze, ale zwidzić równiez inne miasta czeskie.

Na dzień 20 b. m. ma być zwołaną rada państwa.

Polacy, jak piszą z Wiédnia, mają otrzymać jednakowe ustępstwa jak i Czesi.

ROZMAITOŚCI.

Gazeta szlązka przyniosła wiadmość, że w czasie układów z francuskim ministrem Favrem, załamał się stołek pod Bismarkiem, który upadł pod nogi Favrowi. — A toż to dopiéro te francuzkie stołki! — zawołał wielki kanclerz — nie mogą na sobie utrzymać Niemca! — Ale w rzeczy saméj było mu bardzo nieprzyjemnie. Wróżą ztąd Francuzi, że jeszcze będą tryumfowali nad Prusakami. Bismark zaś wyprowadza ztąd wniosek, że trzeba lepiéj zawrzéć pokój, bo rzeczy mogą dlań wypaść niefortunnie, gdyby się w tę sprawę wmięszały inne mocarstwa!

Noc karnawałowa. Pewien siodlarz z Bubny zrobił sobie w niedzielę rano mocne postanowienie, by wesoło spędzić noc karnawałową. Udawało się mu wszystko do 1 godz. w nocy. Obszedłszy wszystkie szynki, umyślił sobie wstąpić jeszcze do jednego szynku, by się napić wódki. Ale od téj chwili zaczęło się mu niepowodzić, pomimo że znalazł tam liczne grono nocnych biesiadników. Częstował ich wódką, śpiéwał i cieszył się bardzo, że im smakowała. Naraz zmienił humor i rozgniéwał się mocno, bo mu ktoś ukradł zégarek. Przyskoczył do drzwi i nie chciał nikogo ani wpuścić ani wypuścić z izby. Wtém nadszedł patrol. Zégarek znaleziono pod stołem. Ale złodzie nie schwytano, bo się cichaczem wysunęli. Jednakże téj saméj nocy schwytano ich w innym szynku i w więzieniu osadzono. Ponieważ siodlarz zepsuł sobie tutaj zabawę, poszedł gdzieindziéj, by pić daléj. Ale im więcéj zażywał gorących trunków, tém więcéj go niepokoiło, że sobie popsuł noc karnawałową. Począł więc wymyślać kląć i bić pięścią, aż popadł w złość tak wielką, że tłukł szklanki i szyby w oknie. Przyszedł znowu patrol i zabrał pana brata do kozy. I któżby był powiedział! resztę nocy przepędził w towarzystwie owych złodziei, którzy mu ukradli zégarek. On to był powodem, że się tak pięknie zgromadzili. Tak przepędził noc karnawałową, takie wódka sprawia przygody!

W Londynie umarł niedawno ogromny bogacz nazwiskiem Brasej, przedsiębiorca kolei żelaznych, który oprócz różnych posiadłości, zostawił czystego grosza na naszą monetę około siedmdziesiąt milijonów reńskich.

Do jenerała Bossaka, który był spokrewniony z panującą rodziną w Moskwie, pisał Konstanty, brat cara Aleksandra, żeby wrócił do Petersburga, gdzie będzie mógł odzyskać swoje stanowisko w armii.

— Mój brat, car Aleksander — pisał Konstanty — przebaczy ci twój udział w powstaniu polskiém.

Po otrzymaniu tego listu śp. Bossak odpowiedział temi słowy:

— Chętnie wrócę, ale pod warunkiem, że nie weźmiecie mi za złe, jeżeli podczas piérwszéj lepszéj ruchawki ludowéj bateryje moje skieruję na pałac carski.

Konstanty nic nie pisał więcéj.

Obok Bossaka padł major Bohdan a w tymże samym czasie zginął pod Paryżem Rochebrun (Roszbrę), wszyscy znani z polskiego powstania w 1863.

Piszą z kraju, że wilki, o których już mało było słychać, téj zimy stają się coraz więcéj zuchwałymi. Nie tylko zapuszczają się pod obory, ale napadają przechodzących ludzi. Niedawno pożarły pod Samborem kobiétę i jéj córkę.

Do dzieży świeżém mlékiem napełnionéj kładzie się łyżkę dzikiego chrzanu, a tym sposobem może być mléko przez kilka dni przechowane, nie skwaśnieje, chociażby i na powietrze było wystawionem.

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jordan. W drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.